

*Zaginiona
córka*

G I L L P A U L

*Łaginiona
córka*

Przełożyła
Anna Gralak

MANDO 

Originally published under the title *The Lost Daughter*

© Gill Paul 2018

All rights reserved

Copyright for this edition © Wydawnictwo WAM, 2019

Opieka redakcyjna: Agnieszka Ćwieląg-Pieculowicz

Redakcja: Anna Śledzikowska

Korekta: Katarzyna Onderka

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz

Zdjęcie na okładce: Aleshyn_Andrei/Shutterstock, Inara Prusakova/Shutterstock

Skład: Lucyna Sterczewska

Zdjęcia na stronach 447 i 452 zostały zamieszczone dzięki uprzejmości Biblioteki Kongresu.

ISBN 978-83-277-2112-9

MANDO

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

tel. 12 62 93 200

www.wydawnictwomando.pl

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496

e-mail: handel@wydawnictwomando.pl

Druk: COLONEL • Kraków

Publikację wydrukowano na papierze Ecco book cream 70 g vol. 2.0
dostarczonym przez Antalis Poland Sp. z o.o.

Spakowała kilka rzeczy, bez których nie mogła się obejść: album ze zdjęciami, szkicownik i ołówki, dwie ulubione ikony i złotą szkatułkę Fabergé, a potem dodała do tego swój aparat fotograficzny.

Włożyła bieliznę i spódnicę, w której wcześniej zaszyła klejnoty. Zobaczyła, że jej siostry robią to samo.

Zasnurowała buty, następnie sięgnęła po aparat i torbę podróżną. Gdy wszystkie siostry były gotowe, poszły do salonu.

Przechodząc obok wypchanego czarnego niedźwiedzia u szczytu schodów, jej matka się przeżegnała.

*Cioci Anne, mojej najstarszej przyjaciółce,
która po dziewięćdziesiątce nadal mnie inspiruje,
a także moim najmłodszym przyjaciołom:
Hope (lat dziewięć) i Marshallowi (lat sześć),
którzy są niezwykle odważni
i bardzo skutecznie mnie rozśmieszają.*

Prolog

Jekaterynburg, 16 lipca 1918

Jurowski obejrzał broń rozłożoną na stole: sześć pistoletów i osiem rewolwerów. Dziwnie wyglądały w gabinecie dżentelmena z drogą purpurową tapetą w złoty wzór liści palmowych, z olbrzymim srebrnym żyrandolem, witrażowymi lampami w stylu art nouveau i drewnianym gramofonem. Dwa pomieszczenia dalej rodzina Romanowów jadła kolację w obecności czworga służących. Omlet – tego dnia mieli jajek pod dostatkiem.

Drzwi gabinetu się otworzyły i do środka weszli przygarbieni mężczyźni, spoglądając najpierw na broń, a potem na Jurowskiego. Stańeli w półokręgu. Jermakow stał bezpośrednio pod łbem jelenia wiszącym na ścianie. Jego ciemne włosy były rozczochrane, twarz lśniła od potu. Jurowski był za daleko, by poczuć alkohol w jego oddechu, lecz wiedział, że Jermakow pił, mimo że minęła dopiero dwudziesta i na zewnątrz wciąż było jasno.

– Dziś wieczorem – zaczął – Prezydium Rady Uralskiej powierzone wielką misję: uwolnić nasz kraj od wrogów bolszewizmu. – Poczul ucisk w żołądku. Z Moskwy nie przyszedł jeszcze telegram z potwierdzeniem, lecz i tak było jasne, czego od niego wymagają. Nadeszła jego chwila, czekało na niego miejsce w podręcznikach historii. – Potrzebuję jedenastu ludzi – ciągnął rzeczowym tonem – jednego na każde z nich, żeby śmierć nastąpiła jednocześnie. Każdemu zostanie przydzielony cel i osobiście wydam rozkaz oddania strzału. Macie strzelać tak, żeby zabić i oszczędzić im niepotrzebnych cierpień związanych z patrzaniem na śmierć pozostałych.

Mówiąc, wodził wzrokiem po twarzach, wypatrując oznak wahania, strachu albo zdenerwowania. Potrzebował pewnych ludzi, którzy podporządkują się bez zadawania pytań. Tę grupę tworzyli bojówkarze z Wierch-Isetskich Zakładów Metalurgicznych, prawdopodobnie o inteligencji poniżej przeciętnej. To dobrze, nie chciał słyszeć żadnych pytań o powody i cele, potrzebował tylko milczącego posłuszeństwa. Większość z nich nie poznała jeszcze rodziny, więc nie mieli okazji się do niej przywiązać. Byli jednak młodzi, najmłodszy miał zaledwie siedemnaście lat. Czy zachowają spokój, gdy zacznie się strzelanina?

Jermakow był chętny do pracy.

– Wezmę mauzera – powiedział, sięgając po jeden z największych pistoletów na stole.

Adolf Lepa, dowódca tej nowej grupy strażników, zaskoczył Jurowskiego.

– Chyba nie zdołam zastrzelić dziewcząt – wymamrotał, spoglądając na swoje stopy.

Jurowski rzucił mu wściekle spojrzenie. Po południu Lepa był na spotkaniu w hotelu Amerika, gdzie podjęto decyzję. Wiedział, że nie mogą pozwolić, by Romanowów oswobodzili kontrrewolucjoniści mogący potem przywrócić ich panowanie dzięki wsparciu obcych rządów.

– Ja też – odezwał się Węgier Verhas.

Jurowski otworzył usta, żeby ich zbesztać i ponownie podkreślić konieczność przeprowadzenia egzekucji, lecz uświadomił sobie, że to nie ma sensu. Myślał, że na Lepie można polegać, ale nigdy nie wiadomo, jak zareagują ludzie w chwili próby.

– Wracajcie obaj do domu Popowa – rozkazał. – I ani słowa o tym, co tu się dzieje. Reszta strażników dowie się dopiero w ostatniej chwili.

Zanim przemówił do pozostałych, zczekał, aż ci dwaj wyjdą.

– Teraz możecie wybrać broń, z której będziecie strzelali.

Podeszli do stołu, mierząc wzrokiem drugiego mauzera, colty, naganty, smitha & wessona i browninga. Podnosili je, by ocenić, ile

ważą i jak leżą w dłoni. Jednemu z mężczyzn tak mocno trzęsła się ręka, że omal nie upuścił broni na podłogę. Inny z daleka śmierdział bimbrem – jego oddech tak nim cuchnął, że Jurowski aż się skrzywił.

– Wy dwaj. – Skinął na nich, po czym wskazał drzwi. – Możecie odejść.

Zostało dziesięciu, łącznie z nim samym. Ktoś musiał zatem zastrzelić dwoje ludzi. Spojrzał na Jermakowa trzymającego mauzera. Mężczyzna miał wzrok roziskrzony rewolucyjną gorączką.

– Zabiję dwóch – zaoferował się ten dzikus, uprzedzając dowódcę.

Jermakow już kiedyś zabił. Spędził sześć lat w kolonii karnej za pozabawienie głowy stróża w fabryce, do której się włamał. Po rewolucji go wypuszczono. Teraz był oficerem Czeka i cieszył się w regionie dużym poważaniem. Jurowski wiedział, że wykona zadanie.

– W takim razie wszystko gotowe. – Po raz ostatni spojrział na mężczyzn. – Nie wolno nam popełnić żadnego błędu. Przywódcy obdarzyli mnie wielkim zaufaniem, a ja obdarzyłem nim was. Weźcie broń i czekajcie na rozkazy.

Gdy wychodzili z pokoju, jeden z nich potknął się o dywan i jego pistolet z hukiem upadł na podłogę. Jurowski westchnął. Zapowiadała się długa noc.

Rozdział 1

Jekaterynburg, kwiecień 1918

– Obywatelu Romanow, obywatelko Romanowa, jestem komisarz Awdiejew. – Mężczyzna mówił po rosyjsku i miał na sobie mundur Armii Czerwonej. Zwracając się do nich, nie zdjął nawet czapki z czerwoną gwiazdą.

Maria zauważyła niezadowolenie matki. Do marca ubiegłego roku Aleksandra nosiła tytuł carycy, cesarzowej Wszechrusi, i nadal nie godziła się na zmianę swojego statusu.

– Za kogo on się uważa? – zwróciła się po angielsku do ojca Marii, byłego cara Mikołaja.

– Od tej pory będziecie mówili wyłącznie po rosyjsku, w języku naszego wielkiego narodu – upomniał ją komisarz. Matka Marii głośno cmoknęła z niezadowoleniem i mruknęła coś pod nosem.

Służący wciąż taszczyli na wzniesienie kufry z dworca. Maria wolałaby zostać na zewnątrz w jasnym wiosennym słońcu, zamiast wchodzić do tego przysadzistego domu otoczonego wysoką palisadą. Z miejsca, w którym stali, widać było jedynie łukowate okna mansardowe w zielonym metalowym dachu nad krawędzią ogrodzenia. Awdiejew skinął na nich, żeby weszli po schodach, i gdy ruszyła za rodzicami, niosła w sercu ciężar pasujący do pogrążonego w półmroku wnętrza budynku.

Z holu prowadziły na górę kamienne schody. Awdiejew wyjaśnił, że w ciągu dnia będą przebywali na pierwszym piętrze i wychodzili z domu tylko po to, żeby zażyć ruchu. U szczytu schodów stał wypchany czarny niedźwiedź z dwojgiem młodych i Maria skrzywiła

się z niesmakiem. Nigdy nie przepadała za taksydermią i obecność tych martwych stworzeń odebrała jako zły znak.

Gdy Awdiejew oprowadzał ich po domu, mówiąc szorstkim tonem, Maria błędziła myślami. Powiodł ich do salonu z rzeźbionymi dębowymi meblami i fortepianem, następnie łukowatym przejściem do drugiego salonu z biurkiem i regałami oraz do jadalni wyposażonej w ciężki ciemny stół z krzesłami. Meble wyglądały na drogie, lecz wydawały się niewygodne, jakby zaprojektowano je na pokaz, a nie po to, żeby z nich korzystać. W sypialni było jaśniej, ściany pokryto jasnożółtą tapetą, lecz Maria musiała dzielić pokój z rodzicami. Służbę rozlokowano w salonach i jadalni. W domu był prąd, łazienka i toaleta z sedesem. Maria przypuszczała, że powinni się z tego cieszyć, lecz tęskniła za przestronną elegancją komnat w Pałacu Aleksandrowskim.

Podeszła do okna sypialni i patrzyła, jak tramwaj elektryczny sunie pod górę. Chodnikami przechodzili mężczyźni i kobiety, prawie nie patrząc na dom. Oni nie byli więźniami. Mogli robić, co im się podobało. Maria wolałaby urodzić się jako zwykła obywatelka, a nie córka cara. Miała zaledwie osiemnaście lat i chciała się bawić, lecz od rewolucji w lutym ubiegłego roku jej rodzina przebywała w areszcie domowym. Maria była więźniem od prawie czternastu miesięcy. Jak cudownie byłoby obudzić się rano, rozsunąć zasłony i postanowić, że tego dnia pójdzie się na wiejską wędrownkę albo pojedzie na wybrzeże, by zobaczyć morze – najlepiej w towarzystwie jakiegoś przystojnego kawalera. Maria nie miała jeszcze kawalera, ale bardzo pragnęła go mieć. Dziewczęta w jej wieku zwykle miały kawalerów. Niektóre w wieku osiemnastu lat były mężatkami, więc dlaczego nie ona?

Jej matka, przykrywszy oczy ściereczką, leżała na kozetce, skarżąc się na ból głowy, a ojciec kroczył tam i z powrotem, pykając fajkę. Miał zapadnięte policzki i zmarszczone niepokojem czoło. Maria poszła do salonu, by pomóc Demidowej, pokojówce matki, poszukać proszków przeciwbólowych. Podczas tygodniowej podróży z Tobolska wielokrotnie przerzucano bagaż i zbił się flakon perfum.

Ich woń wydawała się teraz przesłodzona i nie była już przyjemna. Maria znalazła proszki i zaniósła je matce razem ze szklanką wody, a potem wolno przechadzała się po nowej kwaterze, spoglądając przez okna na podwórze i widoczne za płotem miasto: obsadzone drzewami bulwary, zielone parki, a w oddali fabryczne kominy wypływające dym. Na piętrze domu kilkoro drzwi zamknięto na klucz, co było denerwujące, ponieważ tak przydałaby im się dodatkowa przestrzeń.

Maria żałowała, że nie przyjechały z nimi jej siostry. Okropnie za nimi tęskniła, zwłaszcza za Anastazją, dwa lata od niej młodszą, która bez wątpienia zaczęłaby tu psocić. Rodzeństwo zostało jednak w domu gubernatora w Tobolsku, by opiekować się jej młodszym bratem Aleksym, który niedomagał z powodu wywołanego upadkiem krwawienia z pachwiny. Marię wybrano, by towarzyszyła rodzicom w kolejnym więzieniu. Dlaczego akurat tutaj? Jeśli zamierzano wysłać ich na emigrację – tak jak mieli nadzieję – Jekaterynburg wydawał się dziwnym celem podróży, dlatego że znajdował się w samym środku kraju i nie miał dostępu do morza.

U szczytu drugich schodów, niedaleko łazienki, stał strażnik. Odpowiadając na jego powitanie, Maria rozpoznała go i pisnęła z radością.

– Znam cię! Służyłeś kiedyś w Liwadii. Jak cudownie, że tu jesteś! – Pałac w Liwadii na Krymie był wiosenną rezydencją Romanowów. Choć pod koniec marca w Sankt Petersburgu trwała jeszcze zima, na Krymie kwitły już kwiaty oraz drzewa owocowe i świeciło ciepłe słońce. Cała rodzina uwielbiała Liwadię. – Wybacz – dodała Maria – zapomniałam, jak się nazywałeś.

Pokłonił się.

– Ukraincew, panienko. Konstantyn Ukraincew.

– Byłeś naganiaczem na polowaniach stryja Michała, prawda? Pamiętam, jak grałeś z nami w krokiet na trawniku. Zawsze pozwalałeś mi wygrać. – Maria miała ochotę tańczyć z radości, że spotkała tu przyjazną twarz.

– Zgadza się, panienko.
– Powiedz, jak się miewa twoja rodzina? Przyjechała tu razem z tobą?
– Ożeniłem się z kobietą z Jekaterynburga i pracuję w tym mieście już od kilku lat.

– Masz dzieci?

Opowiedział jej o żonie i dwójce dzieci – synu i córce. Maria wypytywała o ich charaktery i zainteresowania, chłonąc te wszystkie informacje. Postanowiła wyhaftować dla nich poduszkę i podarować im ją na Wielkanoc.

– Do kogo należy ten dom? – spytała. – Patrząc na te meble i zastanawiam się, kto je wybrał.

– Kupiec o nazwisku Ipatiew – odrzekł Konstantyn. – Chyba niedawno poproszono go o wyprowadzenie się stąd, żeby zrobić miejsce dla rodziny panienki.

– Mam nadzieję, że nie sprawiło mu to kłopotu. – Maria zmarszczyła brwi, spoglądając na schody. – Dom nie wydaje się szczególnie duży. Pilnuje go wielu strażników?

– Kilkudziesięciu – powiedział. – Część śpi na parterze, a reszta w domu po drugiej stronie ulicy. – Zamilkł na chwilę. – Przepraszam, panienko. Przyjąłem tę pracę, bo płacą o wiele lepiej niż w fabryce.

– Doskonale rozumiem! – zawołała. – Proszę, nie przejmuj się tym. Tak się cieszę, że cię widzę! Później koniecznie przyjdź przywitać się z mamą i papą.

Po schodach wszedł drugi strażnik. Zatrzymał się obok nich i wydawał się zmieszany, widząc, że Maria rozmawia z jego kolegą.

– To Piotr Wazniecowa – przedstawił go Ukraince.

Gdy Maria z uśmiechem wyciągnęła rękę, Wazniecowa zawahał się. Chyba nie wiedział, czy powinien ją uścisnąć, więc sama złapała go za palce i szybko nimi potrząsnęła. Był wysokim mężczyzną, miał pewnie około dwudziestu lat. Jego jasne włosy koloru piasku tworzyły z przodu niesforną kępkę, którą Anglicy nazywali „krowim liźnięciem”.

– Miło mi – powiedziała. – Mam na imię Maria.

Kiwnął głową, nie patrząc jej w oczy, i zamiast tego spojrzął na Ukraincewa.

– Przysłali mnie, żebym cię zmienił – oznajmił mu.

Ukraincew poklepał go po ramieniu i zwrócił się do Marii:

– Po obiedzie zapukam do drzwi i przywitam się z twoimi rodzicami, panienko.

– Och, oczywiście! – rozpromieniła się. – Bardzo się ucieszę.

Ukraincew odwrócił się, żeby zejść na dół, a Maria spojrzała na jego zmiennika.

– Jest pan rodowitym mieszkańcem Jekaterynburga, panie Wazniecow? Ma pan tu rodzinę?

– Matkę i siostrę – odrzekł. – Ojciec poległ na wojnie.

Maria poczuła szczypanie łez współczucia.

– Och, nie! Tak mi przykro. Na którym froncie walczył?

Wazniecow wydawał się zaskoczony, lecz odpowiedział:

– Poległ w Puszczy Augustowskiej razem z większością Dziesiątej Armii.

– To było w lutym 1915 roku, prawda? – Przytaknął, a Maria mówiła dalej: – Mój ojciec powiedział, że każdy z walczących tam żołnierzy był bohaterem. Zatrzymali niemieckie wojska wystarczająco długo, by pozostałe oddziały mogły się przegrupować, i dzięki temu zdołaliśmy utrzymać pozycje. Domyślam się jednak, że dla pana to marne pocieszenie. Proszę, niech mi pan powie, jakim człowiekiem był pański ojciec.

– Wspaniałym. Nigdy przedtem ani potem nie spotkałem nikogo takiego jak on – odrzekł z przekonaniem Piotr.

– Spędzał z panem dużo czasu, gdy był pan młodszy? Niektórzy mężczyźni są tak zajęci pracą, że mało korzystają z życia rodzinnego. – Miała na myśli swojego ojca, którego w czasach jej dzieciństwa wciąż zajmowały sprawy państwowe. Teraz, gdy byli skazani na przebywanie w swoim towarzystwie całymi dniami, zamykał się w sobie i rzadko mówił cokolwiek, co wykraczało poza czyste formalności.

Piotr uśmiechnął się i w kącikach jego szarych oczu pojawiły się zmarszczki.

– Chodziłem za nim jak cień. Był leśniczym w dużym majątku ziemskim i zabierał mnie ze sobą bez względu na pogodę. Opowiadał mi o zwierzętach, drzewach, innych roślinach i pogodzie. Miałem szczęśliwe dzieciństwo.

– Nie chodził pan do szkoły?

– Trochę chodziłem. W naszym świecie nie przywiązuje się dużej wagi do uczenia się z książek, liczy się raczej rozumienie ziemi.

Najwyraźniej nie wstydził się swojego braku wykształcenia. Marii się to spodobało.

– Jak teraz radzi sobie pańska matka?

Wzruszył ramionami.

– To zaradna kobieta, więc potrafi o siebie zadbać, ale stała się jakby... – chwilę szukał właściwego słowa. – Jakby mniej sobą.

Maria otarła koniuszkiem palca łzę, która lada moment mogła wypłynąć na policzek. Było jej żal tej kobiety.

– Mieszka pan razem z nią?

– Mieszkam tutaj – odrzekł – w domu po drugiej stronie ulicy. Matka jest u siostry, która wyszła za mąż i spodziewa się dziecka.

Maria się uśmiechnęła.

– Musi mi pan powiedzieć, kiedy dziecko się urodzi. Prześlę mu jakiś prezent. Uwielbiam dzieci.

Piotr odkaslnął i znowu wydał się zakłopotany.

– To chyba nie byłoby stosowne...

– Dlaczego? Dlatego, że jest pan strażnikiem? Ja i moje siostry bardzo się zaprzyjaźniłyśmy ze strażnikami w domu gubernatora w Tobolsku i mam nadzieję, że my dwoje też zostaniemy przyjaciółmi. W przeciwnym razie życie staje się bardzo nużące. Ma pan szczęście, że po skończonej zmianie może pan stąd wyjść i robić, co pan zechce. Ja tkwię tu z rodzicami, a żadne z nich nie ma szczególnie towarzyskich predylekcji.

Zmarszczył brwi i domyśliła się, że nie zrozumiał słowa „pre-dylekcje”, więc mówiła dalej:

– W zasadzie to bywają raczej nudni. Czy zatem nie miałby pan nic przeciwko temu, żebym czasem przyszła z panem pogawędzić? Wtedy czas minie szybciej nam obojgu.

Zastanowił się.

– Nie wiem, co na to komisarz, ale ja nie mam nic przeciwko temu.

– To dobrze. Zatem jesteśmy umówieni.

Konstantyn Ukraincew przyszedł później do salonu, by zgodnie z obietnicą przywitać się z rodzicami Marii. Poprosili go, żeby usiadł i porozmawiał z nimi, co było dla nich mocno nietypowe. Zanim wyszedł, obiecał, że wyśle telegram do siostr Marii w Tobolsku, dając im znać, gdzie jest reszta rodziny, i informując, że dotarła do tego miejsca cała i zdrowa. Wizyta Konstantyna bardzo poprawiła humor rodzicom Marii i przez jakiś czas rozmawiali o tym, jak cudownie było go zobaczyć. Później wspominali Liwadię.

Marii nie zapewniono łóżka, więc położyła się na stercie płaszczy w kącie pokoju rodziców. Przed snem myślała o Konstantynie i Piotrze. Obaj byli mili, choć, jak przypuszczała, popierali bolszewików. Cieszyła się, że do powrotu siostr będzie miała towarzystwo, lecz uznała, że lepiej unikać rozmów o polityce.